

ODA DO RODZINNEGO KLANU – ODSŁONA TRZECIA

*Kolejny mija roczek, a prace nadal trwają, pomimo nowych wieści, starych nie załatwiają,
bo nadal jedna Ewa sen spędza z moich powiek
i skrywa ona skrętnie, cóż ojcem jej za człowiek?
Kto matką owej Ewy, a i dziadkami pogardzić bym nie śmiała,
tak na mnie Ewę, tamta Medwecka Ewa dość narkotycznie działa.
Znam ja jej syna, Michaś mu było, wiem, że w Muszynie mu się urodziło,
znam jego dzieci, wnuki i dalszą rodzinę, aż ze dwieście lat do przodu...
a dwa pokolenia od Michasia wstecz... powodem wiecznego zawodu!
Szukając wieści na ów temat poznałam sporo ludzi,
miłych, wspaniałych, serdecznych, co dla mnie zechcieli się trudzić,
i bardzo im wdzięczna jestem za czas, ów trud i chęci,
bo dzięki temu mi się udało i nie oszaleć i nie zniechęcić.
Jest wśród nich pani Renata, „Seniorką Roku” w prasie ogłoszona,
to absolutny ewenement, co w sportach wyczynowych potrafi osiągnąć Seniorka ona.
Poznałam miłą panią, co drzewko mi wzbogaciła i taką oto wieścią mnie zaskoczyła:
że aktor niejaki z „M jak miłość” Jaroszym tam nazwany,
też do drzewka Medweckich jest przyżeniony i przypisany.
I choć niestety nie ma Go już wśród nas,
fakt ten bezspornym jest po wieczny historii czas.
Poznałam też kustosza, z muzeum, w stolicy,
co o audyencję zabiegał skrętnie i z moją wiedzą się liczy.
Wymiana informacji w dwie strony przebiegała, w stronę kustosza – sporo dokumentacji,
a w stronę moją ciekawymi faktami zaowocowała.
Dotarłam do Archiwum w Tarnowie – Diecezjalnego,
skąd sporo mam informacji przydatnych dla drzewka mojego.
I choć to poważna firma i gdzie mnie do niej – „genealogicznej sierocie”,
to sporo serdecznej współpracy zaznałam w mojej robocie.
Bakcyła z samozapłonem chyba w Archiwum zasiałam,
bo wiele nowych wątków wokół „kwerendy” poznałam.
A niezawodny „Almanach”, co radzi, pomaga i wspiera,
tym razem specjalnie dla mnie... bramy przed czasem otwiera.
I w tak szalonym okresie, jak dzień jubileuszowego spotkania,
dostałam całkiem prywatny czas, do prywatnego z szefową porozmawiania.
Sporo pomocy, fachowych rad daje mi Małopolskich Genealogów świat.
Tam przed półtora roku temu się zapisałam, tam się douczam, a ostatnio działałam,
ale w dziedzinie „wiersze rozrywkowo-okolicznościowe”,
bo mimo moich 28 pokoleń na drzewku, to nie ja w tym gronie mam doświadczenia fachowe.
I tamże właśnie Prezes przybył i się wpisał, z krainy pięknej, rodzinnej, nad Popradem,
dostałam od niego stary dokument związany z pra-pra-pra dziadem,
co uzdrowisko założył i był jego właścicielem,
a prezent był miłym zaskoczeniem, nadmienić się ośmielę.
Udało mi się fotografię przodka zdobyć na licytacji,
co dla mnie zupełną nowością, w porównaniu do mojej – w realu – genealogicznej biurokracji.
I mam ową fotkę i patrzę mu w oczy,*

na owym przodku mundur uroczy,
ale kto – zacz ... nie wiem, jak jakaś niemota...,
czyli znów mrówcza przede mną robota.
Jak widać dzieje się sporo, a bywam w archiwach i sama,
jedynie w kręgu Medweckich, jakby zastoju dramat.
Jakiegoś marazmu i cofki czasami mam uczucie,
tak w świecie wirtualnym, jak i na telefonicznym drucie.
Ci, co mi znani i współpracowali, jakby zasnęli, czy się załamali,
może zdechł motorek, co gnał ich do przodu,
a może doznali jakiegoś zawodu,
i milczą skrycie, co mnie denerwuje,
bo trochę porzucona się z tym wszystkim czuję!
To oni Medweccy, bo ja „po kądzieli”,
a ciężka ta praca tak jakoś niesprawiedliwie się dzieli.
I tak trwam przez lata i przestać nie sposób,
ku chwale i dla pamięci przecież wielu osób.
I nadal w nadziei tej współpracy, mam nadzieję nie padnę,
a rodowe tajemnice i braki wreszcie kiedyś odgadnę.

Ewa Tarkowska

Kraków

(pokolenie 27: prapraprawnuczka
burmistrza Muszyny, Józefa Medweckiego)

TU ZASZŁA ZMIANA...

Już wydawało mi się, że nie wyskrobie ani słowa na temat mojego ulubionego miasta nad Popradem, kiedy przypomniła mi się Muszyna z lat pięćdziesiątych.

Poza Rynkiem i jego najbliższym sąsiedztwem, składającym się z murowanych domów, reszta była przeważnie drewniana, z bali albo spojonych zaprawą, albo z wypełnionymi mchem szczelinami. W wielu domach po jednej stronie szerokiej sieni mieszkali gospodarze, a drugą część zajmowały zwierzęta i drób. Pamiętam, że na ulicy Grunwaldzkiej za kościołem stało rzędem siedem takich domów, których „architektem” ok. 1930 roku (lub nieco wcześniej) był mój Teść. Mówiło się o tych domkach „siedmiu braci śpiących”. W późniejszych latach znikwały, a na ich miejscu pojawiały się nowe.

W charakterze ciekawostki dodam, że moi Teściowie przez lata mieszkali pod numerem 365. Przypuszczam, że numeracja była nadawana w miarę stawiania kolejnych domów.

Niektóre ulice były wybrukowane kocimi łbami, a po deszczu tworzyły się wielkie kałuże. Uliczkami toczyły się furmanki zaprzężone w małe koniki, a napędem był owies czy słoma. Czasem te pojazdy stanowiły pewne zagrożenie, nawet dla ludzi, gdy gospodarze wracali z ułańską fantazją do domu po litkupie w „Podhalance”.

Wodę do gotowania posiłków wielu mieszkańców nosiło ze studni na placu targowym lub z Rynku. Na stokach okolicznych wzgórz pasły się owce, czasem i kozy. Na targu były więc do kupienia oscypki i pyszny bundz. Od paru lat już jest tak unowocześniony, że nie chce się go jeść. A smak bobu, który okoliczne „plantatorki” sprzedawały na garnuszki pół- albo litrowe? Niezapomniany... Na targowisku kupowało się też pachnące maliny, poziomki, borówki, wianki suszonych grzybów, jajka i masło owijane w liście kapusty. No i jeszcze zachwycający, choć mnie trochę wprawiający w zakłopotanie rytuał targowania się o każdą złotówkę. A teraz plac targowy trwa smętny, jakaś budka, czasem przyjezdny sprzedawca. Tamtego folkloru dziś już nie uświadczy...

Wtedy Muszyna była taka sielska, anielska. Przynajmniej taka się jawi w moich wspomnieniach. Teraz tylko, gdy jest burza, grzmoty jak dawniej przetaczają się z hukiem po otaczających miasto lasach i górach.

Pierwszy raz byłam w Muszynie w lipcu 1951 roku. Mija zatem 60 lat od tamtego pobytu! Dzisiaj Muszyna nadal jest piękna, ale inaczej. Gdy w lipcu 2010 roku znów ją odwiedziłam po raz trzydziesty drugi (trzeci?), zachwyciły mnie wybrukowane rozjazdy za rzeką, odnowiony bulwar, ławeczki za mostem na Popradzie i oczywiście kompleks wodny. Parę razy jeździłam na Folwark popatrzeć, jak sprawnie i szybko przywracany jest do użytku po powodzi tamtejszy most. Żal mi było mostku na Muszynie, ale podobno już stoi!

Muszyna jest coraz piękniej ukwiecona. I Rynek, i Zapopradzie, i prywatne, starannie utrzymane ogrody, w których pojawiły się kwiaty, oczka wodne, fontanny – zamiast rachitycznej marchewki i pietruszki.

Wiele lat temu nagrodą w jakimś teleturnieju był weekend w „Żeraniu” lub „Ursusie”. Jakże zazdrościłam zwycięzcom, bo od dawna marzyłam o pobycie w którymś z tych pensjonatów. Chciałam z góry, z najwyższego piętra, patrzeć na Muszynę.

Przed paroma laty zazdrościłam też Krynicy, że ma burmistrza, który potrafi ją w telewizji z takim przekonaniem promować. Los zdarzył, że pan Jan Golba trafił do Muszyny, a w ostatnich wyborach muszynianie obdarzyli go wielkim zaufaniem, głosując rekordowo w skali Polski: ponad 94% głosów padło na nowego burmistrza! Zasłużył w pełni na ten sukces. Byłam dumna, bo drobna część splendoru spłynęła i na mnie – znajomi z drugiego krańca Polski dzwonili, informując mnie o wyniku wyborów.

W listopadzie obejrzałam w telewizji filmik o Muszynie, z komentarzem pani Barbary Ruckiej. Jak zwykle, gdy mowa o Muszynie, miałam wilgotne oczy...

Alicja Kalafut
Świebodzice